

HARLAN COBEN

0 krok za daleko

Thriller



ALBATROS

Rozdział 1

Simon siedział na ławce w Central Parku, a ściślej mówiąc, na terenie Strawberry Fields, i miał wrażenie, że serce mu pęknie. Nikt oczywiście o tym nie wiedział i nie mógł wiedzieć, dopóki nie padły ciosy i dwoje turystów z Finlandii – pomyślałby kto – nie zaczęło krzyczeć, a dziewięcioro innych spacerowiczów z najrozmaitszych krajów nie nagrało całego zdarzenia smartfonami.

Ale to miało nastąpić dopiero za godzinę.

Na Strawberry Fields nie ma żadnych truskawek i trudno nazwać tę hektarową, specjalnie zaprojektowaną część parku polem (w liczbie pojedynczej), a już na pewno nie polami, jednak jej nazwy nie należy traktować dosłownie, bo pochodzi od tytułu słynnej piosenki Beatlesów. Strawberry Fields to obszar w kształcie trójkąta, przy Siedemdziesiątej Drugiej i Central Park Zachodniej, upamiętniający Johna Lennona, który został postrzelony po drugiej stronie ulicy. Centralny element tego zakątka stanowi okrągła kamienna mozaika z prostym napisem pośrodku:

IMAGINE

Simon, zdruzgotany, patrzył przed siebie, mrugając. Napływali kolejni turyści i fotografowali sławną mozaikę: robili zdjęcia grupowe, pojedyncze selfie, niektórzy klęcząc na kamieniach, inni na nich leżąc. Tego dnia, jak niemal codziennie, ktoś otoczył słowo *Imagine* świeżymi kwiatami, układając z płatków czerwonych róż znak pokoju, którego jakimś cudem nie rozwiął wiatr. Odwiedzający park wykazywali – może dlatego, że to miejsce jest pomnikiem – cierpliwość i spokojnie czekali na swoją kolej, żeby zbliżyć się do mozaiki i cyknąć to specjalne zdjęcie, które potem wstawią na Snapchat, Instagram albo inny serwis społecznościowy z jakimś cytatem z Lennona, może z fragmentem piosenki Beatlesów, mówiącej przykładowo o tym, że wszyscy ludzie powinni żyć w pokoju.

Simon był w garniturze. Po wyjściu z biura w World Financial Center przy Vesey nie pomyślał o poluzowaniu krawata. Naprzeciwno niego, również w pobliżu sławnej mozaiki, utwory Beatlesów grała za pieniądze... Jak się teraz mówi na takie osoby? Bezdomna? Nieprzystosowana? Uzależniona od narkotyków? Umysłowo chora? Żebraczka? Czy jak? „Piosenkarka uliczna” (to chyba najłagodniejsze określenie) brzdąkała na rozstrojonej gitarze i śpiewała łamiącym się głosem przez żółknące zęby o Penny Lane, którą wciąż widzi przed oczami i która rozbrzmiewa jej w uszach.

Dziwne, a przynajmniej zabawne wspomnienie: Simon stale mijał tę mozaikę, kiedy jego dzieci były małe. Gdy Paige miała z dziewięć lat, Sam sześć, a Anya trzy, wychodzili z mieszkania, zaledwie pięć przecznic stąd, przy Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, między Columbus i Central Park Zachodnią, i przecinając Strawberry Fields, szli pod pomnik Alicji

w Krainie Czarów przy stawie dla modeli łódek we wschodniej części parku. Inaczej niż w przypadku prawie wszystkich posągów na świecie dzieciakom wolno było wspinać się na mierzącą ponad trzy metry brązową figurę, przedstawiającą Alicję, Szalonego Kapelusznika, Białego Królika i gromadę, zdawałoby się, nieodosownych wielkich grzybów. Sam i Anya to uwielbiali, wręcz rzucali się na te postacie, choć Sam w pewnym okresie zawsze wtykał Alicji dwa palce w nozdrza i wołał do Simona: „Tato! Tato, patrz! Dłubię jej w nosie!”, na co jego matka, Ingrid, nieodmiennie wzdychała i mruczała: „Ci chłopcy...”.

Paige, ich pierworodna, była już wtedy cichsza i spokojniejsza. Siadała na ławce z książeczką do kolorowania i nie-
tkniętymi kredkami – nie lubiła, kiedy wkład się łamał albo schodziła opaska – i nigdy, dosłownie i w przenośni, nie wychodziła poza linie. Gdy była starsza – miała piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat – siedząc na ławce, tak jak teraz Simon, w notesie, który kupił jej w sklepie papierniczym przy Columbus Avenue, pisała opowiadania i teksty piosenek. Ze cztery tysiące ławek w Central Parku zostało dzięki datkom pieniężnym „adoptowanych”. Umieszczono na nich spersonalizowane plakietki, przeważnie prostej treści, jak na tej, którą zajmował Simon:

Na pamiątkę Carla i Corky.

Inne, które wybierała Paige, opowiadały historie:

*Dla C & B – którzy ocaleli z Holokaustu i w tym mieście
zaczęli życie od nowa...*

Mojej najdroższej Anne – kocham Cię, uwielbiam, szanuję. Czy wyjdiesz za mnie?

Tu zaczęła się nasza miłość, 12 kwietnia 1942 roku...

Ulubiona ławka Paige, ta, na której przesiadywała godzinami ze swoim ostatnim notesem – może to już o czymś świadczyło? – upamiętniała tajemniczy dramat:

Piękna Meryl, 19 lat. Zashugiwałaś na znacznie więcej, a zmarłaś tak młodo. Uczyniłbym wszystko, aby Cię uratować.

Paige chodziła od ławki do ławki, czytała tabliczki i wybierała jedną z nich jako początek opowieści. Simon solidarnie próbował podobnie, ale nie miał takiej wyobraźni jak córka. Gdy więc Paige obok szybko pisała, siedział z gazetą czy zaglądał do smartfona, żeby sprawdzić notowania giełdowe albo przeczytać wiadomości biznesowe.

Gdzie podziały się te stare notatniki? Co się z nimi stało?

Nie miał pojęcia.

Penny Lane wreszcie dobiegła końca i w następnej kolejności wykonawczyni zaintonowała *All You Need Is Love*. Na ławce obok Simona przysiadła para młodych ludzi. Chłopak zapytał scenicznym szeptem:

– Mam jej coś rzucić, żeby przestała?

Jego towarzyszka zarechotała.

– To tak, jakby mordować Lennona kolejny raz – odparła.

Parę osób wrzuciło dziewczynie do futerału kilka centów, ale ludzie w większości trzymali się od niej z daleka albo cofali się, krzywiąc twarze, jakby zetknęli się z czymś, z czym nie chcieli mieć do czynienia.

Ale Simon jej słuchał, i to uważnie, licząc, że dostrzeże w granej przez nią piosence, melodii, słowach, interpretacji coś ładnego. Ledwie zwrócił uwagę na turystów, ich przewodnika, mężczyznę bez koszuli – niestety – sprzedającego butelkę wody po dolarze, chudego faceta z bródką, który również za dolara opowiadał dowcipy (PROMOCJA: SZEŚĆ DOWCIPÓW ZA PIĘĆ DOLCÓW!), starą Azjatkę zapalającą kadzi-dełko dla Johna Lennona, ludzi uprawiających jogging, wyprowadzających psy, opalających się.

W muzyce nie było jednak nic ładnego. Zupełnie nic.

Simon wpatrywał się w nędzarkę zarzynającą twórczość Johna Lennona. Włosy miała potargane i matowe. Policzki zapadnięte. Przeraźliwie chuda, wynędzniała, brudna i zagnębiona, sprawiała wrażenie obłąkanej.

To była jego córka, Paige.

• • •

Simon nie widział jej od sześciu miesięcy, odkąd postąpiła niewybaczalnie.

Dla Ingrid to przesądziło sprawę.

– Tym razem zostaw ją w spokoju – powiedziała mu po ucieczce Paige.

– To znaczy?

I ta wspaniała matka, oddana lekarka pediatra, która poświęciła życie, żeby pomagać dzieciom w potrzebie, oświadczyła:

– Nie chcę jej więcej widzieć w tym domu.

– Nie mówisz poważnie.

– Owszem, Simon. Niech mi Bóg wybaczy.

Bez wiedzy Ingrid szukał córki miesiącami. Czasami jego

wysiłki były racjonalne, jak wtedy, kiedy wynajął prywatnego detektywa. Częściej wynikały z desperacji, miały przypadkowy charakter, gdy chodził po niebezpiecznych dzielnicach i pokazywał zdjęcie Paige różnym podejrzanym typom i ćpunom.

Bez rezultatu.

Zastanawiał się, czy Paige, która niedawno miała urodziny (ciekawe, jak je obchodziła... urządzając imprezę, z tortem, a może biorąc narkotyki...? I czy w ogóle wiedziała, co to za dzień?), opuściła Manhattan i wróciła do miasteczka uniwersyteckiego, gdzie zaczęła się staczać. W dwa weekendy, gdy Ingrid miała dyżur w szpitalu i nie mogła zadawać zbyt wielu pytań, pojechał tam i zatrzymał się w Craftboro Inn niedaleko uczelnianego kampusu. Obszedł go, przypominając sobie, jak entuzjastycznie cała ich piątka – on, Ingrid, sama Paige, Sam i Anya – oglądała wszystko, jak razem pomagała przyszłej studentce się zainstalować, jak oboje z Ingrid oceniali optymistycznie, że to miejsce, z tą otwartą, pełną zieleni przestrzenią i lasami, stanowi doskonały wybór dla ich córki, wychowanej na Manhattanie, i – oczywiście – jak ten optymizm z czasem słabł i wreszcie zniknął.

Jakiś wewnętrzny głos – którego nie zamierzał słuchać i do którego nawet się nie przyznawał – nakazywał mu zrezygnować z tych poszukiwań. Od ucieczki Paige życie, jeśli się nie poprawiło, to z pewnością stało się spokojniejsze. Sam, który wiosną ukończył Horace Mann, prawie już nie wspominał o siostrze. Skupił się na kolegach, egzaminach końcowych, imprezach – i teraz myślał już tylko o przygotowaniach do pierwszego roku w Amherst College. Anya, cóż, Simon nie bardzo wiedział, jak ona do tego podchodzi. Nie mówiła przy

nim o Paige – ani specjalnie o niczym innym. Na jego próby nawiązania rozmowy odpowiadała krótko, jednym słowem. Miała się „dobrze”, wszystko było u niej „nie najgorzej” albo „w porządku”.

I wtedy Simon trafił na dziwny trop.

Któregoś ranka przed trzema tygodniami dosiadł się do niego w windzie sąsiad z góry, Charlie Crowley, okulista praktykujący w centrum. Gdy już wymienili uprzejmości, Charlie, jak wszyscy spoglądając na drzwi i obserwując, jak winda pokonuje w dół kolejne piętra, nieśmiało i z autentycznym żalem wspominał, że „chyba” widział Paige.

Simon, który także patrzył na zmieniające się numery pięter, z największą nonszalancją, na jaką tylko było go stać, poprosił o szczegóły.

– Spotkałem ją w parku, jeśli to była ona – wyjaśnił Charlie.

– Jak to? Szła przez park?

– Niezupełnie. – Zjechali już na parter. Drzwi się rozsunęły. Sąsiad wziął głęboki oddech. – Paige... grała piosenki na Strawberry Fields.

Musiał zauważyć zdumienie na twarzy Simona.

– No, wiesz, żeby zarobić.

Simon miał wrażenie, że coś w nim pęka.

– Żeby zarobić? Jak jakaś...

– Chciałem dać jej pieniądze, ale...

Zależało mu na tym, żeby Charlie kontynuował, więc skinął głową na znak, że wszystko w porządku.

– ...ale ona nawet mnie nie poznała. Przestraszyłem się, że tylko poszłyby na...

Nie musiał kończyć.

– Przykro mi, Simon. Naprawdę.

A więc tak się rzeczy miały.

Simon zastanawiał się, czy powiedzieć o tej rozmowie Ingrid, ale wolał nie ryzykować. Zaczął natomiast w wolnym czasie spacerować po Strawberry Fields.

Nigdy jednak nie spotkał Paige.

Pytał kilku bezdomnych, którzy grali tam na gitarze, czy ją znają. Wrzucał im po parę banknotów do futerału, a potem pokazywał jej zdjęcie w telefonie. Niektórzy odpowiedzieli, że tak, znają i zdradzają więcej szczegółów, jeśli Simon da więcej. Robił to skwapliwie, ale niczego konkretnego się nie dowiedział. Większość twierdziła, że jej nie rozpoznaje, i teraz, gdy zobaczył Paige na własne oczy, wreszcie zrozumiał przyczynę. Między jego śliczną kiedyś córką a tym workiem kości nie było prawie żadnego fizycznego podobieństwa.

Gdy jednak tak siedział na Strawberry Fields – zwykle przed niemal śmieszną tabliczką, informującą

STREFA CISZY – ZAKAZ GRY NA INSTRUMENTACH MUZYCZNYCH I HAŁASOWANIA

– zauważył coś dziwnego. Muzycy, wszyscy wyglądający na brudnych i bezdomnych, nigdy nie grali w tym samym czasie, nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Przejście między jednym a drugim grajkiem ulicznym dokonywało się niemal niezauważalnie. Zmieniali się niezwykle sprawnie i gładko, prawie co godzinę, w pewnym porządku.

Jakby według jakiegoś harmonogramu.

Wtedy poznał faceta o imieniu Dave, jednego z bardziej zaniedbanych muzyków, z szopą siwych włosów, pozaplatanym

i spiętym gumkami zarostem oraz warkoczem sięgającym aż do krzyża. Kosztowało go to pięćdziesiąt dolarów. Dave, który wyglądał albo na steranego życiem pięćdziesięciokilkulatka, albo na dobrze zakonserwowanego siedemdziesięciolatka, wytłumaczył mu, jak to działa.

– Kiedyś gość, który nazywa się Gary dos Santos... Znasz go?

– Coś słyszałem – odparł Simon.

– No właśnie. Gdybyś przyszedł tu w ciągu dnia, facet, tobyś go sobie przypomniał. Gary był samozwańczym burmistrzem Strawberry Fields. Potężny chłop. Przez jakieś dwadzieścia lat pilnował w okolicy porządku. To znaczy... uczył moresu. To był czubek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Simon kiwnął głową.

– I nagle, chyba w dwa tysiące trzynastym, jest po Garym. Białaczka. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki. I wszędzie tu – Dave wskazał dookoła dłońmi w rękawiczkach bez palców – zapanowało szaleństwo. Totalna anarchia, i to bez tych naszych faszystów. Czytałeś Machiavellego? Coś w tym guście. Muzycy zaczęli codziennie wdawać się w bójkę. Chodziło o terytorium, kapujesz?

– Kapuję.

– Próbowali sami zaprowadzić porządek, ale daj spokój... połowa tych gości ledwie umie się samodzielnie ubrać. Jeden dupek grał za długo, drugi wchodził mu w paradę, zaczynali się drzeć, wyzywać wzajemnie, nawet przy małych dzieciach. Czasami dawali sobie po mordzie, a wtedy zjawiały się gliny, kapujesz, no nie?

Simon ponownie skinął głową.

– To źle wpływało na nasz wizerunek, nie mówiąc już o

kasie. Więc wymyśliliśmy rozwiązanie.

- Jakie?
- Grafik. Zmiana co godzinę, od dziesiątej rano do siódmej wieczorem.
- Naprawdę?
- Aha.
- I to działa?
- Nie zawsze idealnie, ale prawie.

Interes ekonomiczny, pomyślał Simon, analityk finansowy. Jedna ze stałych w życiu.

- Jak się dostać do tego grafiku?
- Esemesowo. Mamy pięcioro stałych wykonawców. Tym przyznaje się najlepsze pory. Pozostali mogą występować wcześniej albo później.

- I to ty prowadzisz grafik?
- Ja. – Dave z dumą wypiął pierś. – Znam się na rzeczy, kapujesz? Na przykład nigdy nie wstawiam Hala ani za Julesem, ani przed nim, bo jeden drugiego nie znosi bardziej niż moje byłe mnie. Staram się też wprowadzać tę, no, dywersyfikację.

- Dywersyfikację?
- Czarni, laski, Latynosi, cioty, nawet para żółtków. – Rozłożył ręce. – Nie chcemy, aby wszyscy myśleli, że obiboki to tylko biali faceci. To szkodliwy stereotyp, kapujesz?

Simon kapował. Pokapował się także, że jeśli wręczy Dave'owi po połówce dwóch rozerwanych studolarówek i obieca, że w zamian za informację, na kiedy zapisana jest Paige, da mu brakujące części banknotów, pewnie coś uzyska.

Tego ranka dostał od Dave'a esemesa:

**Dziś o jedenastej. Nie wiesz tego ode mnie. Nie
jestem kapusiem.**

I następnego:

**Ale przynieś forse o dziesiątej. O jedenastej
mam jogę.**

I oto był na miejscu.

Siedział naprzeciwko Paige i zastanawiał się, czy córka go rozpozna, a jeśli tak, czy wtedy ucieknie. Nie był pewny. Uznał, że najlepiej będzie pozwolić jej dokończyć, spakować gitarę i napiwki i dopiero wówczas do niej podejść.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt osiem. Jej godzina dobiegała końca.

Simon przećwiczył w głowie wszystkie teksty. Zadzwoził już do kliniki na północy stanu i zarezerwował pokój dla Paige. Plan był taki: mówić cokolwiek, zgadzać się na wszystko, ustępować, błagać, uciec się do wszelkich możliwych sposobów, żeby tylko zabrać ją ze sobą.

Od wschodniej strony nadszedł następny muzyk uliczny w spranych dżinsach i podartej flanelowej koszuli. Usiadł obok Paige. Gitarę trzymał w czarnej plastikowej torbie na śmieci. Klepnął Paige w kolano i wskazał wyimaginowany zegarek na ręce. Paige kiwnęła głową, dokończyła *I Am the Walrus* przeciągłym *goo goo g'joob*, podniosła ręce i zawołała „Dziękuję!” do tłumu, który nie dość, że nie klaskał, to jeszcze w ogóle jej nie słuchał. Zebrała kilka żalosnych pogniecionych singli i monet, a potem zaskakująco starannie schowała gitarę do futerału. To zwykle spakowanie instrumentu zrobiło na Simonie duże wrażenie. On jej go kupił, Takamine G-Series, na

szesnaste urodziny, w Sam Ash przy Zachodniej Czterdziestej Ósmej. Usiłował przywołać tamto wspomnienie – uśmiech Paige, kiedy zdjęła gitarę ze ściany, to, jak przymknęła oczy, gdy ją testowała, jak zarzuciła mu ręce na szyję i zawołała „Dziękuję, dziękuję, dziękuję!”, kiedy jej powiedział, że to prezent.

Towarzyszące temu uczucia, nawet jeśli były realne, nie chciały jednak powrócić.

Straszna prawda była taka: Simon nie widział w tej ćpuncie swojej dziewczynki.

Przez minioną godzinę próbował zobaczyć. Spróbował i teraz – spojrzeć na nią i znowu ujrzeć tamtego aniołka, którego zawoził na basen przy Dziewięćdziesiątej Drugiej Y, małą dziewczynkę, która siedziała na hamaku w Hamptons, podczas gdy on czytał jej *Harry’ego Pottera*, jeden i drugi tom w trzydniowy weekend w Święto Pracy, i która koniecznie chciała przebrać się za Statuę Wolności i włożyć dwie zielone maski już na dwa tygodnie przed Halloween, ale – być może był to mechanizm obronny – żaden z tych obrazów się nie pojawiał.

Paige z trudem wstała.

Przyszła pora na jego ruch.

Simon po drugiej stronie mozaiki też wstał. Serce tłukło mu się pod żebrami. Czuł narastający ból głowy, jakby dwie gigantyczne ręce naciskały mu na skronie. Spojrzał w lewo, potem w prawo.

Rozglądając się za jej ewentualnym chłopakiem.

Nie potrafił powiedzieć, jak to wszystko się potoczyło, jednak za nieszczęście, które spotkało córkę, a co za tym idzie, całą rodzinę, winił właśnie jego. Tak, czytał wszędzie, że od-

powiedzialność za swoje działania narkoman musi wziąć na siebie, że sam jest sobie winien, wyłącznie. I że większość z nich – a co za tym idzie, także ich rodzin – ma do powiedzenia coś na swoją obronę. Może uzależnienie zaczęło się od środków przeciwbólowych po operacji. Może jest skutkiem presji ze strony rówieśników albo eksperymentów, które jakoś przeszły w coś poważniejszego.

Zawsze jest jakaś wymówka.

Jednak w przypadku Paige – nazwijcie to słabością charakteru, niedostateczną opieką rodzicielską czy czymkolwiek – wszystko wydawało się o wiele prostsze.

Była Paige przed poznaniem Aarona. I jest Paige obecna.

Aaron Corval to męt – zwykły męt – a kiedy męt zetknie się z czymś czystym, wtedy to czyste zostaje skalane na zawsze. Simon nie mógł zrozumieć. Aaron miał trzydzieści dwa lata, był jedenaście lat starszy od Paige. Kiedyś, w bardziej niewinnych czasach, ta różnica wieku go niepokoiła. Ingrid przeszła nad nią do porządku, bo nawykła do takich rzeczy, gdy pracowała jako modelka. Teraz, oczywiście, stanowiło to najmniejszy problem.

Aaron nie pojawił się jednak w polu widzenia.

Simon poczuł pewną nadzieję. Czyżby facet zniknął ze sceny? Czyżby ta zaraza, ten rak, ten pasożyt, który żerował na jego córce, wreszcie się napasał i zmienił żywiciela na zdrowszego?

Byłoby dobrze, bez wątpienia.

Paige, powłócząc nogami jak zombie, skierowała się na wschód, w stronę ścieżki biegnącej przez park. Simon ruszył do akcji.

A co będzie, zastanawiał się, jeśli córka nie zechce z nim

pójść? Było to nie tylko możliwe, ale też wręcz prawdopodobne. Simon już nieraz próbował jej pomóc, bezskutecznie. Nie mógł jej do niczego zmusić. Zdawał sobie z tego sprawę. Usiłował nawet namówić Roberta Previdiego, swojego szwagra, żeby wydał dla niej sądowy nakaz przymusowego leczenia. To także nic nie dało.

Tymczasem szedł za córką. Sukienka na ramiączkach luźno zwisała jej z ramion. Na plecach widniały brązowe plamy (od słońca? jakiejś choroby? przemocy?), skazy na nieskazitelnej niegdyś skórze.

– Paige?

Nie odwróciła się, nawet się nie zawahała, i na krótką chwilę Simon doznał złudzenia, że się pomylił, tak samo jak Charlie Crowley, że ten brudny, cuchnący worek kości o zachrypniętym głosie to nie jego pierworodna, nie jego Paige, nie ta nastolatka, która pachnąca brzoskwiniami i młodością, grała Hodel w *Skrzypku na dachu* wystawianym przez Abernathy Academy i zdobyła serca publiczności swoim wykonaniem *Far from the Home I Love*. Simon nie przebrnął przez ani jeden z jej pięciu występów bez łez w oczach; niemal płakał, kiedy jej Hodel zwracała się do Tewjego i mówiła: „Papa, Bóg jeden wie, kiedy się znowu zobaczymy”, na co jej sceniczny ojciec odpowiadał: „Więc zostawmy to w Jego rękach”.

Odchrząknął i zbliżył się do niej.

– Paige?

Zwolniła, ale nadal się nie odwracała. Simon wyciągnął drżącą rękę. Wciąż miał przed sobą plecy dziewczyny. Położył rękę na jej ramieniu i poczuł tylko kość, pokrytą pergaminową skórą. Spróbował jeszcze raz.

– Paige.

Wreszcie się zatrzymała.

– Paige, to ja, tata.

Tata. Kiedy ostatnio tak go nazwała? Był dla niej tatą, jak dla pozostałych dwojga dzieci, odkąd tylko pamiętał, a jednak to słowo ledwie przeszło mu przez gardło. Słyszał swój łamiący się głos, brzmiącą w nim prośbę.

Dziewczyna i tym razem się nie odwróciła.

– Proszę, Paige.

A potem zaczęła uciekać.

To go zaskoczyło. Była już trzy kroki przed nim, gdy zareagował. Ostatnio doszedł do całkiem innej formy. Niedawno biura miał siłownię i po traumie wywołanej stratą córki – bo tak to traktował, jak stratę – zaczął podczas przerwy na lunch obsesyjnie uczęszczać na zajęcia kardio i boks.

Rzucił się do biegu i szybko dogonił dziewczynę. Złapał ją za chude ramię, cienkie jak trzcina – zdołał objąć wiotki biceps palcem wskazującym i kciukiem – i pociągnął. Może zrobił to za mocno, ale wszystko – skok, wyciągnięcie ręki – było działaniem instynktownym.

Paige próbowała się wyrwać. Zrobił, co konieczne, żeby ją zatrzymać.

– Au! – krzyknęła. – Puść mnie!

Wokół znajdowało się mnóstwo ludzi i niektórzy, Simon był pewny, odwrócili się, słysząc jej krzyk. Nie przejął się tym, tylko z jeszcze większą determinacją realizował swój zamiar. Musiał działać szybko, zabrać stąd Paige, zanim jakiś dobry samarytanin wkroczy do akcji, żeby ją „ratować”.

– Kochanie, to ja, tatuś. Chodź ze mną, dobrze?

Wciąż miał przed sobą jej plecy. Odwrócił ją, ale ona za-

słoniła łokciem oczy, jakby zaświecił jej w twarz latarką.

– Paige? Paige, proszę, spójrz na mnie.

Najpierw zeszytywniała, a potem nagle jakby się odprężyła. Opuściła rękę i powoli podniosła na niego wzrok. Znowu przepełniła go nadzieja. Owszem, miała zapadnięte oczy o pożółkłych białkach, ale po raz pierwszy odniósł wrażenie, że dostrzegł w nich iskierkę życia.

I po raz pierwszy zobaczył przed sobą dziewczynkę, którą znał.

Kiedy Paige się odezwała, wreszcie też usłyszał echo swojej córki.

– Tata?

Kiwnął głową. Otworzył usta i je zamknął, bo czuł się zbyt przytłoczony. Spróbował jeszcze raz.

– Jestem tu, żeby ci pomóc, Paige.

Rozplakała się.

– Tak mi przykro.

– W porządku – odparł. – Wszystko będzie dobrze.

Wyciągnął ręce, żeby objąć córkę i zapewnić jej bezpieczeństwo, kiedy przez zgiełk w parku przebił się jak kosa żniwiarza inny głos.

– Co, do jasnej cholery...?!

Simonowi zamarło serce. Spojrzał w prawo.

Aaron.

Na dźwięk jego głosu Paige wyrwała się z objęć Simona. Próbował ją przytrzymać, ale opuściła rękę. Gitara w futerale uderzyła ją w udo.

– Paige... – zaczął Simon.

Jeżeli przed kilkoma sekundami jej oczy miały jakiś przytomny wyraz, to teraz nie było po nim śladu.

– Zostaw mnie w spokoju! – zawołała.

– Paige, proszę cię...

Zaczęła się cofać. Simon ponownie wyciągnął rękę, jak spadający w przepaść desperat, który próbuje złapać się gałęzi, ale Paige wrzasnęła przeraźliwie.

W ich stronę odwróciły się głowy. Było ich wiele.

Simon nie dawał za wygraną.

– Błagam, posłuchaj mnie tylko...

I wtedy wkroczył pomiędzy nich Aaron.

Dwaj mężczyźni, on i Simon, stanęli naprzeciwko siebie twarzą w twarz. Paige schowała się za Aaronem. Ten wyglądał na wycieńczonego, na brudnym białym T-shircie miał dzinsową kurtkę – ostatni krzyk mody w stylu *heroin chic*, z tym że żadnego szyku w tym nie było. Nosił na szyi za dużo łańcuchów, jego kilkudniowy zarost, który miał przydawać mu stylu, był nijaki, a ciężkie robocze buciory wyglądały na nim śmiesznie, jak na każdym, kto nie przepracował uczciwie ani jednego dnia w życiu.

– Spokojnie, Paige – rzucił chrapliwie, wciąż patrząc Simonowi w oczy. – Idziemy, kotku.

Simon pokręcił głową.

– Nie, tylko nie...

Ale Paige wyrwała mu się, opierając dla równowagi dłoni na plecach Aarona, i odbiegła ścieżką.

– Paige?! – zawołał za nią. – Zaczekaj! Proszę...

Była coraz dalej. Chciał ruszyć za nią, ale Aaron zagroził mu drogę.

– Ona jest dorosła – warknął. – Nie ma pan prawa...

W tym momencie Simon podniósł pięść i uderzył go prosto w twarz.

Poczuł pod knykциями miękki nos i usłyszał trzask, jakby ciężki but nastąpił na ptasie gniazdo. Pocięła krew.

Aaron upadł.

Wtedy właśnie zaczęło krzyczeć tamtych dwoje turystów z Finlandii.

Simon nie zwracał na to uwagi. Wciąż widział przed sobą Paige, która skręciła w lewo, zbiegła z chodnika i wpadła między drzewa.

– Paige, czekaj!

Przeskoczył powalonego mężczyznę i miał pobiec za córką, gdy leżący na ziemi Aaron złapał go za nogę. Simon usiłował się uwolnić, ale widział już zbliżających się ludzi – zdeorientowanych, choć o dobrych intencjach. Było ich zbyt wielu, a niektórzy przekłętymi telefonami nagrywali scenę rozgrywającą się przed nimi.

Wszyscy krzyczeli i nakazywali mu się zatrzymać.

Simon oswobodził nogę. Pośpiesznie ruszył ścieżką, kierując się za Paige.

Było jednak za późno. Został otoczony przez tłum.

Ktoś próbował go obezwładnić. Simon zamachnął się na niego łokciem. Facet jęknął i cofnął się o krok. Inny dwiema rękami chwycił Simona w pól. Ten zdjął je z siebie, jakby rozpinał pas, i wyrywając się rzekomym obrońcom, usiłował pobiec za córką.

Ale było zbyt tłoczno.

– Moja córka! – zawołał. – Proszę... zatrzymajcie ją...

W tym zamieszaniu nikt go jednak nie słyszał, a może po prostu nie chciał słuchać szaleńca, którego należy unieszkodliwić.

Rzucił się na niego kolejny turysta. I jeszcze jeden.

Przewracając się w końcu, Simon spojrzał jeszcze w dal i zobaczył, że córka wróciła na ścieżkę. Upadł ciężko. A gdy usiłował się podnieść, spadły na niego ciosy. Wiele ciosów. W efekcie miał złamane trzy żebra i dwa palce. Doznał wstrząsu mózgu i wymagał założenia dwudziestu dwóch szwów.

Nie czuł jednak nic poza bólem pękającego serca.

Przygniotło go następne ciało. Słyszał krzyki i wrzaski, potem znalazł się w otoczeniu policjantów, którzy przewrócili go na brzuch i zakuli w kajdanki. Jeden z nich wbił mu kolano w plecy. Simon uniósł głowę ostatni raz i dostrzegł córkę przyglądającą się temu zza drzewa.

– Paige!

Ale nie podeszła. Uciekła i Simon ponownie uświadomił sobie, że ją zawiódł.